



TRZY
SZTUKI
W

ANT

ARK

PIERWSZA
ARTYSTYCZNA
WYPRAWA
POLSKICH
TWÓRCÓW
DO ANTARKTYKI

TYCE

FILM
MUZYKA
FOTOGRAFIA

BARTOSZ STRÓŻYŃSKI



Bezdroża

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autorzy oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autorzy oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka
Projekt składu i łamanie: Bartosz Stróżyński
Opracowanie kartograficzne: Magdalena Krocak
Fotografie na okładce oraz wewnątrz książki pochodzą z archiwum autora.

Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: redakcja@bezdroza.pl
WWW: <http://bezdroza.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
<http://bezdroza.pl/user/opinie/betsan>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-3514-1

Copyright © Bartosz Stróżyński 2018

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

SPIIS TREŚCI

Wstęp	10
GENEZA	13
Mglisty poranek w Antarktyce	14
Wszystko zaczęło się od Trójki	16
Cele przedsięwzięcia	20
Skąd się wzięła nazwa	23
LUDZIE	27
Zespół artystyczny	28
Muzyka	30
Film	34
Kobiety a Trzy Sztuki	38
Zespół techniczny	39
Eksperci i wolontariusze	43
JACHT	49
Wybór jachtu	50
Życie na jachcie	52
Rytm dnia	57
Jak pracować, gdy dręczy choroba morska	59
PRZYGOTOWANIA	63
Inauguracja Trzech Sztuk w Trójce	64

Między premierą a wyjazdem	74
Nauka techniki mokrego kolodionu	74
Spotkanie z Selmą	79
Plenerowa próba dźwięku	80
Gdy wszystko idzie źle... ..	82
Pierwsza pomoc	84
Próbny rejs	85
Mamo... ..	88
Ostatnia prosta	90
WYPRAWA	105
Startujemy!	106
Dziennik pokładowy	117
POSTSCRIPTUM	219
Dlaczego robimy pewne rzeczy, a innych nie?	220
Kilka statystyk	221
Łyżka dziegciu, czyli co zrobiłbym inaczej	225
Sponsorzy	227
PODSUMOWANIE	235
WYSTAWA+	243
PODZIĘKOWANIA	309

Wstęp

Pisanie książek kojarzy mi się ze spuszczeniem w toalecie własnych myśli, które po przejściu przez system kanalizacyjny, filtry, oczyszczalnie ścieków, schludne i zadbane, w końcu wydostają się do rzek, a potem oceanów. I kiedy wydaje się, że świat stoi przed nimi otworem, okazuje się, że nagle się rozplývają, mieszają, a nawet toną i niewielu jest już w stanie je odnaleźć.

Wszystko w życiu ewoluuje, wizje, ideały, pomysły, postrzeganie ludzi, ich zachowań czy motywacji. Podobnie jest z tą książką. Dzielę się w niej tym, co czułem, widziałem i dostrzegałem. Nie mam pojęcia, jak będę ją odbierać za rok czy za 10 lat. Nie wiem, czy napisałbym ją lepiej zaraz po powrocie z Antarktyki, czy dopiero po wyciszeniu emocji związanych z projektem. To był proces twórczy, który doprowadził do czegoś, albo do niczego, albo jeszcze do czegoś zupełnie innego. Pewne rzeczy, które wczoraj były fantastyczne, dzisiaj wydają się tylko takie sobie, a jutro być może będą banałem — i na odwrót. Dobre emocje zmieniły się w złe, a złe w dobre. Rzeczy, które wydawały się pewne, okazywały się pułapką, a niepewne oczywistością. Trudno mi było się w tym wszystkim połapać i to ogarnąć. Uznałem jednak, że warto na koniec projektu zebrać to, co wydarzyło się od momentu powstania idei, w jednym opracowaniu i podzielić się z czytelnikami wspomnieniami, słowami i obrazami. Chodziło nie tylko o syntezę działań artystycznych, ale również o przedstawienie kulis przedsięwzięcia, podzielenie się kilkuletnim bagażem doświadczeń prowadzących do celu. Myślę, że nawet uczestnicy rejsu mogą być zaskoczeni niektórymi fragmentami tej książki.

Zatem przekazuję w Państwa ręce zbiór myśli, które, mam nadzieję, będą dryfowały niedaleko brzegu i czasami szczęśliwie wpadną w sieci czytelników. Choć zdaję sobie też sprawę, że w czasach, kiedy wszyscy mówią, a prawie nikt nie słucha, wszyscy piszą, a prawie nikt nie czyta, jedynym namacalnym skutkiem napisania tej książki może być wzrost emisji gazów cieplarnianych.





ROZDZIAŁ 5.

WYPRAWA

[Kup książkę](#)

[Poleć książkę](#)

Startujemy!

Wdzień wylotu, 12 lutego, przyjechał po nas wynajęty wcześniej bus, który zapakowaliśmy po sufit bagażami. Przed południem pojechaliśmy na lotnisko Okęcie. To było ledwie przetarcie — pakowanie i rozpakowywanie busa. Jeszcze trochę chaotyczne i nieporadne; potem za każdym razem było lepiej, a to, co osiągnęliśmy w drodze powrotnej, było już mistrzostwem.

Na lotnisku czekali na nas bliscy, którzy przyjechali nas pożegnać. Pojawił się również Olaf Lubaszenko — wyraźnie wzruszony, życzył nam szczęśliwej podróży, ale powiedział też kilka słów do naszych sympatyków:

Moi drodzy państwo, Trzy Sztuki w Antarktyce właśnie wkraczają w kolejną fazę. Za chwilę ekipa wyruszy w długą i daleką podróż i wyruszy, niestety, beze mnie, o czym od jakiegoś czasu już wiecie. Żałuję, przeżywam teraz te emocje, trochę te emocje, które czułbym, gdybym leciał z nimi. Jeszcze raz powtórzę, że przez mój stan zdrowia, konkretnie kontuzję nogi, byłoby to zbyt duże ryzyko, musiałem zostać. Ale będę z nimi w stałym kontakcie, będę w łączności, będę uczestniczył, w miarę możliwości, również w aktywności medialnej tej wyprawy — tutaj, w trakcie jej trwania i z pewnością po. I czekam na to, co koledzy nakręcą, żeby później w jakiś sposób wziąć udział w filmie, który tam powstanie. Ale w dalszym ciągu — i kolejny raz to powtarzam — najbardziej interesuje mnie koncert Adama Nowaka w tamtych okolicznościach. Tego mu naprawdę strasznie zazdrozczę.

Podróżowanie z ogromnym bagażem pełnym wartościowego sprzętu wiąże się z absorbującą przeprawą lotniskową. Zresztą torba torbie nierówna. Niektóre, a może nawet większość, były delikatnie przeważone. Mieliśmy sporo bagażu podręcznego, aparaty, kamery, kieszenie pełne baterii, części toreb w niestandardowych wymiarach, gitarę. Spotkaliśmy się z dużą życzliwością obsługi lotniska. Bagaż odprawiliśmy bez większych problemów, choć zgodnie z przewidywaniami zapłaciłem kilkanaście tysięcy za nadmiarowe kilogramy, a wiadomo, takie wydatki najbardziej bołą każdego podróżnika.

Na szczęście dodatkowe walizki zmieściły się do samolotu, wszystkie przewożone baterie przeszły z powodzeniem kontrolę bezpieczeństwa. Mogliśmy się zrelaksować i spokojnie rozpocząć podróż.

Do Frankfurtu wylecieliśmy o czternastej trzydzieści. Choć lot nie był długi, dotarliśmy do celu z 30-minutowym opóźnieniem. Ponieważ nie chciałem ryzykować, dobrałem loty w kierunku Antarktyki tak, aby przerwy między kolejnymi rejsami były co najmniej kilkugodzinne. Pięć godzin przerwy we Frankfurcie dla nowicjuszy wydawało się rozsądnym czasem na spokojne przejście przez kontrolę bezpieczeństwa, mały posiłek i krótki relaks. Zaraz po wyłączeniu odłączyłem się od grupy, aby odebrać lampę podwodną. Mimo że odległości na tym lotnisku są spore, już po kwadransie byłem z powrotem z nowiutką i co najważniejsze, sprawną lampą. Kontrola paszportowa, skanowanie bagażu przeszły bez większych problemów. Standardowa procedura, szczegółowa kontrola elektroniki, wykładanie poszczególnych urządzeń do indywidualnego prześwietlenia. Wkrótce byliśmy przy docelowej bramce i czekaliśmy na samolot. Każdy robił co chciał, od spania, czytania, jedzenia i picia po kręcenie filmików na Facebooka. Tak w spokoju upływał nam czas. Było bardzo wesoło. Niektórzy panowie postanowili stoczyć bitwę na obuwie terminalowe, a ja przy tej okazji stworzyłem nowy nurt w fotografii podróżniczej, a mianowicie *foot photography*, czyli fotografię stóp. Po kilku ujęciach stwierdziłem, że kariery jednak nie zrobię — ale początki były obiecujące.

Do Buenos Aires, następnego punktu przesiadkowego na naszej trasie do Antarktyki, wylecieliśmy o dwudziestej drugiej. Szacowany czas lotu wynosił 16 godzin. Sporo czasu, aby się wyspać lub nadrobić zaległości filmowe. Podczas lotów międzykontynentalnych pokładowe centrum rozrywki oferuje szeroką gamę bardzo ciekawych filmów. Nie mam w domu telewizora, więc przez wiele lat było to dla mnie główne źródło najlepszych tytułów filmowych. Dla tych, którzy cierpią na bezsenność lub nie znają języka obcego, taki długi lot to szansa na totalne wynudzenie się lub nielimitowane czerpanie z pokładowego barku. Po całonocnym locie, koło ósmej rano, wyłączaliśmy w Buenos Aires. Mogłoby się wydawać, że lot trwał tylko 10 godzin, ale nic bardziej mylnego. Różnica czasowa między Europą a Ameryką

Południową wynosiła o tej porze roku sześć godzin, tak więc z każdym kilometrem na zachód wydłużaliśmy noc w samolocie.

Po wylądowaniu najważniejsze pytanie podróżnika brzmi: czy przyleciał z nami cały bagaż? Na wszelki wypadek zaplanowałem dwudniową przerwę w Buenos Aires, aby ewentualnie opóźnione walizki dotarły kolejnymi lotami. Wkrótce miało się okazać, czy słusznie. Mieliśmy jeszcze przed sobą kilkunastominutowe oczekiwanie do kontroli paszportowej i już mogliśmy przejść do strefy odbioru bagażu. Tego poranka padał intensywny deszcz. Obawiałem się, że nasz sprzęt może poważnie ucierpieć, jeśli torby pozostaną dłużej na wózkach transportowych bez zabezpieczenia. Kiedy uruchomiono taśmociąg, a bagaże zaczęły wyłaniać się z ciemnego otworu w ścianie, odpowiednio rozstawiliśmy się wokół i wypatrywaliśmy naszych walizek. Nietrudno było je poznać, bo z każdej strony zostały oklejone czerwonymi naklejkami z napisem „ostrożnie, szkło”. Jedna po drugiej wyłapywaliśmy je i układaliśmy na wózkach. Niektóre torby i walizki były bardzo mokre, ale szczęśliwie bez negatywnych konsekwencji. Kiedy taśma się zatrzymała, zebraliśmy wózki w jednym miejscu i zaczęliśmy sprawdzać, czy wszystko przyleciało. Plik odcińków bagażowych, sklejonych ze sobą, wyglądał imponująco, prawie jak talia kart. Odhaczałem kolejno walizkę po walizce. Kiedy doszedłem do końca, okazało się, że brakuje jednej sztuki. W duchu powiedziałem sobie: „Cholera, tylko tego nam teraz brakowało”. Nie było wyjścia, trzeba było sprawdzić jeszcze raz. Wynik niestety taki sam... Już się rozglądałem za stanowiskiem *lost luggage*, kiedy ktoś z zespołu zwrócił mi uwagę, że brakującą torbą może być... mój osobisty bagaż. Wcześniej odstawiliśmy podręczne torby na bok, aby się nie myliły. Kamień spadł mi z serca, tak, to była ta torba.

W Buenos Aires mieliśmy zatrzymać się w gościnie u ambasadora RP Marka Pernala. Długie oczekiwanie na kontrolę paszportową, a później komplikacje bagażowe sprawiły, że mieliśmy spore spóźnienie. Tymczasem zadzwonił pan ambasador z pytaniem, kiedy będziemy na miejscu, bo musi wkrótce wyjść do pracy. Głupio wyszło, ale cóż, nie byłem w stanie niczego przyspieszyć.



Kiedy człowiek się nudzi, do głowy przychodzą mu zwariowane pomysły. Pierwszy oficjalny pojedynek na obuwie podróżnicze, 21 lutego 2017, lotnisko we Frankfurcie. (B.S.)



Kiedy wydostaliśmy się z terminala przylotów, nie pozostało nic innego, jak zlokalizować czekającego na nas kierowcę, zapakować sprzęt i udać się do celu. Kolumna wózków obładowanych walizkami przemieszczała się powoli w kierunku parkingu. Ja zamykałem stawkę, na czele szedł Adam. W pewnym momencie podszedł do niego mężczyzna w białej koszuli i zaoferował pomoc w pchaniu wózka. Adam oczywiście nie miał nic przeciwko i z radością pozbył się uciążliwego balastu. Reszta, idąca kilkanaście metrów z tyłu i obserwująca tę sytuację, podśmiewała się trochę, przewidując, że Adam, przyzwyczajony do polskich realiów, mocno się zdziwi, kiedy się zorientuje się, że to nie rozanielony fan, tylko tragarz, który zażyczy sobie zapłaty za swoją pracę. Nie minęło kilka minut, a młody i uśmiechnięty pan wystawił rękę w oczekiwaniu nagrody.

Wreszcie, choć nie bez problemów, zapakowaliśmy się do busa i wyruszyliśmy w drogę. Zabrało nam jeszcze kilka minut forsowanie niepokornych bramek lotniskowych, ale kiedy wydostaliśmy się na autostradę — droga do celu była już prosta.

Kiedy dojechaliśmy pod wskazany adres, naszym oczom ukazał się ekskluzywny, odgrodzony wysokim płotem, chroniony przez strażników i monitorowany kamerami wysoki apartamentowiec. Pomyślałem wtedy, że nie bardzo pasujemy do tego miejsca. Polarowe ciuchy, trekkingowe buty, niewyszukane torby... Po kilku chwilach otworzyła się brama i mogliśmy wjechać do środka. Obserwowałem zażenowanie ochroniarza patrzącego na wylewającą się na marmurowe posadzki dziedziczna rzekę bagaży. Reprezentacyjny budynek zamieszkały przez dyplomatów, garnitury, ekskluzywne auta, baseny, a tu takie bazarowe obrazy. Szybko przenieśliśmy torby na drugą stronę budynku i windą wwieźliśmy je do mieszkania. Z każdą sekundą wolne przestrzenie salonu wypełniały się walizkami, aby ostatecznie wypełnić go niemal w całości, wyjąwszy pozostawione po bokach wąskie ścieżki umożliwiające komunikację między pomieszczeniami. Myślę, że kiedy ambasador to zobaczył, był zaskoczony, ale, jak na dyplomatę przystało, nie dał tego po sobie poznać.

Prawie dokładnie rok przed tą intrygującą chwilą poznałem pewną osobę, która bardzo chciała nas jakoś wesprzeć. Podczas rozmowy okazało się, że

zna ambasadora RP w Buenos Aires i chętnie pomoże w kontakcie, jeśli potrzebowałibyśmy jakiejś pomocy w Argentynie. Nie wiedziałem jeszcze, że ostatecznie nie uda się zebrać całego budżetu wyprawy, ale profilaktycznie już na tym etapie poprosiłem o zapytanie, czy możliwe byłoby skorzystanie z pokoi gościnnych. Po krótkim czasie otrzymałem odpowiedź, że jak najbardziej. Minęło kilka kolejnych miesięcy, a ja zacząłem uświadamiać sobie faktyczne braki budżetowe przedsięwzięcia. Byłem zmuszony ograniczać wydatki gdzie tylko się dało. Zdeterminowany sytuacją, poprosiłem wtedy ambasadora o dach nad głową. Pan Marek Pernal zgodził się i udostępnił nam na kilka dni swój apartament — co więcej, przyjął nas z dużą życzliwością i otwartością i stworzył tak przyjazną atmosferę, że naprawdę nie chciało się wyjeżdżać.

Po tym, jak zagraliśmy jego mieszkanie, ambasador musiał wrócić do obowiązków, ale zanim wyszedł, umówiliśmy się na wieczór, na wspólną kolację na mieście. Było dość wcześnie, więc mieliśmy sporo czasu. Każdy zajął się sobą. Toaleta, odpoczynek, uzupełnianie zaległości komunikacyjnych z krajem, jakieś rozmowy, ustalenia techniczne dotyczące zdjęć filmowych — tak upływał ten upalny dzień. Ponieważ nie zjeść argentyńskiego steku w Buenos Aires to tak samo jak być w Rzymie i nie widzieć papieża, cel na wieczór był prosty: znaleźć dobrą restaurację i skosztować lokalnych przysmaków. A że nie jem mięsa, tego wieczoru byłem tylko konsumpcyjnym statystą. Nie była to dla mnie jednak wielka strata, bo lata temu, kiedy jeszcze nie byłem wegetarianinem, skosztowałem smaku argentyńskiej wołowiny. Staraliśmy się znaleźć restaurację, w której żywią się mieszkańcy miasta, ale ostatecznie wylądowaliśmy w typowo turystycznym lokalu, w którym, notabene, już kiedyś jadłem. Może nie było tak klimatycznie, jak potrafi być w restauracjach ukrytych gdzieś w wąskich uliczkach w nieco mniej bezpiecznych dzielnicach Buenos Aires, ale nie mogliśmy narzekać. Jedzenie było pyszne, a wieczór upłynął w wyjątkowej atmosferze. Do domu wracaliśmy grubo po zmroku.

Kolejny dzień, 14 lutego, na który zaplanowaliśmy wizytę w ambasadzie oraz niczym nieskrępowane zwiedzanie Buenos Aires, zaczął się dla nas dość

wcześniej. Zabraliśmy ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy i wyruszyliśmy na całodniowy spacer. Tego poranka przewodnikiem był sam pan ambasador. W drodze do ambasady odwiedziliśmy wiele ciekawych miejsc, ale w pamięci utkwił mi szczególnie moment, kiedy doszliśmy do biblioteki narodowej, bardzo charakterystycznego budynku, przed którym usytuowano pomnik Jana Pawła II. Co ciekawe, tuż obok stała mała budka, w której stacjonował strażnik. Kiedy zobaczył, że Ksawery wyciąga z torby kamerę, natychmiast wkroczył do akcji i poinformował nas, że filmowanie jest zabronione. Byliśmy w towarzystwie ambasadora RP, nie mogliśmy tak łatwo odpuścić. Pan Marek próbował wyjaśnić, że nic złego przecież nie robimy, ale ochroniarz był nieubłagany. Po chwili zdecydował się zadzwonić do swojego przełożonego i zapytać o zgodę. Ostatecznie mogliśmy zrobić kilka kadrów i spokojnie pójść dalej. Ten fragment Buenos Aires należał do zadbanej, zamożniejszej części miasta, a miejsca, które mijaliśmy, przypominały centra europejskich miast. Okolice, które swoim charakterem lepiej oddawały klimat i specyfikę prawdziwego Buenos Aires, zostawiliśmy sobie na popołudnie.

Wizyta w ambasadzie nie była zbyt długa, ale za to bardzo sympatyczna. Spędziliśmy miło czas w towarzystwie ambasadora Marka Pernala i pierwszego radcy do spraw dyplomacji publicznej i kulturalnej Ambasady RP Grzegorza Sobocińskiego. Po krótkiej rozmowie i kilku pamiątkowych zdjęciach wróciliśmy do zwiedzania miasta.

Była pora lunchu, więc zaczęliśmy od posiłku. Tym razem w małej, obскурnej, ale serwującej bardzo smaczne potrawy restauracji położonej w zabytkowej części miasta. Potem każdy poszedł w swoją stronę. Ja w towarzystwie Ksawerego, Artura i Rafała udałem się do La Boki, znanej portowej dzielnicy, w której swą siedzibę ma jeden z najpopularniejszych klubów sportowych Argentyny — Boca Juniors, w którym przed laty grał Diego Maradona. Dojście na miejsce zajęło nam sporo czasu. Było słonecznie i duszno, a my pokonywaliśmy kolejne ulice z wiarą, że już za kolejnym skrzyżowaniem będziemy na miejscu. A La Boki jak nie było, tak nie było. Przechodziliśmy przez coraz bardziej szemrane ulice. Myślę, że jeśli byłbym sam, nie odważyłbym się tamtędy iść. W końcu doszliśmy,

najpierw do stadionu La Bombonera (bombonierka), siedziby wspomnianego klubu, a kilka minut później do kolorowej uliczki Caminito. Miejsce wyglądało zupełnie inaczej niż podczas poprzednich moich wizyt. Domy oczywiście były kolorowe, ale na ulicach było prawie pusto, tylko nieliczne osoby siedziały w restauracjach, no i brakowało tego charakterystycznego klimatu, który tworzy wszędobylskie tango. Co prawda wszedłszy głębiej w małe uliczki, natknęliśmy się na tancerzy prezentujących swój kunszt w jednej z restauracji, ale ogólnie było cicho i kameralnie. Zbliżał się wieczór, a promienie zachodzącego krwisto słońca pokryły pobliski port i ulice. Usiedliśmy w pubie z oknami wychodzącymi na wodę i mając w oczach ten bajkowy obraz, raczyliśmy się zimnym piwem. Ten błogi spokój zakłócił nam jeden z lokalnych gości — hałaśliwie, aczkolwiek radośnie zareagował na nasze przyjście. Po chwili kulturalnie dosiadł się do naszego stolika i zaczął wypytывать, skąd jesteśmy. Nie jestem pewien, czy się dobrze rozumieliśmy, ale jego dużo mówiące gesty wciągania czegoś nosem sugerowały, że chciał nam opchnąć narkotyki. Nie kontynuowaliśmy tematu, więc świeżo zapoznany, jak się okazało, Chilijczyk po chwili grzecznie przeprosił i wrócił do swojego stolika. Było dość późno, do mieszkania wróciliśmy taksówką. Przejeżdżaliśmy przez takie miejsca, że gdyby auto się popsuło i musielibyśmy iść piechotą, przyznaję, trochę bym się bał. Na szczęście spokojnie dotarliśmy na miejsce. Tej nocy już nie spaliśmy. Rozpoczął się ostatni etap drogi do bram Antarktyki, lot z Buenos Aires do Ushuai, miasta położonego najdalej na południe na naszej planecie. Do miejsca, gdzie czekał na nas jacht, którym mieliśmy popłynąć do Antarktyki.

Koło północy przyjechał bus, który zawiózł nas na lotnisko. Wylecieliśmy o czwartej trzydzieści. Lot trwał jakieś cztery godziny, krótko po ósmej rano wylądowaliśmy w Ushuai. To był jeden z tych lotów bez żadnej historii. Kilka godzin w powietrzu i lądowanie. Powtórka z rozrywki, jeżeli chodzi o bagaż, a więc nadawanie, odbieranie, sprawdzanie itd. Na lotnisku czekał na nas Krzysiek Jasica, członek załogi Selmy. Kiedy zobaczył, ile bagażu wyjeżdża do holu głównego lotniska, zdębiał. Nie wiem, co wtedy pomyślał, ale pewnie nic cenzuralnego. Wyglądało to naprawdę imponująco i przerażająco. Nie zamówiłem wcześniej transportu z lotniska do portu jachtowego,

więc byłem zmuszony znaleźć coś na miejscu. Na postoju przed lotniskiem czekało wiele taksówek, ale były tak małe, że aby bezpiecznie przewieźć nas i bagaż do portu, musiałbym prawdopodobnie wynająć wszystkie, a kto wie, czy by starczyło. Nie wspominając już o koszcie takiej ekstrawagancji. Szukałem więc wśród busów przywożących turystów na lotnisko. Pytałem, zachęcałem, ale nikt nie chciał pomóc. „Mafia taksówkowa”, choć oni pewnie nazwaliby to związkami zawodowymi taksówkarzy, straszyla wszystkich, z kim rozmawiałem. Wyraźnie widziałem, że kierowcy busów nie chcą z nimi zadzierać. Jeden już nawet zgodził się nas zawieźć, ale po kontakcie słownym z krewkami taksówkarzami zrezygnował. Widziałem, że się waha, więc naciskałem. Powiedział tylko, że zadzwoni do swojego kolegi i da mi znać, co dalej. Poszedłem tymczasem do wypożyczalni samochodów, aby sprawdzić, czy ewentualnie ta opcja byłaby dostępna. Nie skończyłem jeszcze rozmowy, kiedy wspomniany kierowca busa podszedł i potwierdził, że jego kolega z chęcią nam pomoże. Wiedziałem, że determinacja turystów może być bez żadnych skrupułów wykorzystana przez właściciela busa, więc z góry zapytałem o koszt. Na trzymanej w ręce kartce papieru zapisałem: „7 persons×10 USD = 70 USD”. Była to rozsądna kwota, więc na niej stanęło. Po kilku minutach bus był przed terminalem, a my zaczęliśmy pakowanie. Odległość od portu jachtowego była niewielka, 5 – 10 minut jazdy. Nawet się nie spostrzegliśmy, a byliśmy na miejscu. Podszedłem do kierowcy, aby mu zapłacić. Ku mojemu zdziwieniu cena się podwoiła — zażądał 150 dolarów. Odpowiedziałem, że to jakieś nieporozumienie, bo ja ustaliłem z nim chwilę wcześniej, telefonicznie, inną kwotę. Oburzył się i powiedział, że to nieprawda. Dobrze, że miałem kartkę z notatką z lotniska. Kiedy ją wyciągnąłem i pokazałem, kierowca bez słowa wziął przygotowane wcześniej 70 dolarów, odwrócił się na pięcie i odjechał. Po lotniskowej „przymusowej” pomocy w pchaniu wózków to był drugi przypadek wykorzystania turystów przez Argentyńczyków — tym razem nieudany i jak się okazało, nie ostatni podczas naszej przygody.

W porcie powitał nas Piotrek Kuźniar, kapitan Selmy. Szok wywołany ilością bagażu, skrzętnie skrywany, podejrzewam, był u niego jeszcze większy niż u Krzyska. Kolejne dwa dni upłynęły nam na pakowaniu bagaży na jacht



Przestrzeń pod dolną koją, jedna z wielu skrytek wykorzystywanych do magazynowania zapasów żywności. (A.H.)



Port jachtowy w Ushuai, tankowanie paliwa. (A.H.)

i uzupełnianiu zapasów pożywienia. W pierwszym kroku musiałem jednak przydzielić kajuty. Wybór nie był prosty. Zależało mi na tym, aby nie łączyć osób, które znały się wcześniej, ale również żeby współlokatorzy pasowali do siebie pod względem temperamentu. Z perspektywy czasu wiem, że nie wszystkie wybory były optymalne, ale zdecydowałem jak zdecydowałem i musieliśmy z tym żyć.

Aby móc zająć się pakowaniem naszego sprzętu, najpierw musieliśmy uzupełnić zapasy żywności. Jedzenie musiało się zmieścić, sprzęt — tylko mógł. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, w ilu miejscach na jachcie można składować artykuły spożywcze. Kiedy chłopaki rozlokowywały pod pokładem kolejne kartony pełne jedzenia, ja na pomoście rozpakowywałem sprzęt nurkowy i kompletowałem zestawy do fotografii i filmu podwodnego. Musiałem to zrobić w pierwszej kolejności, gdyż walizki, w których je przywoziłem, zajmowały dużo więcej miejsca niż złożony już sprzęt. Wydaje się, że to proste i powtarzalne czynności, ale zawsze zabierają sporo czasu. *Jet lag* zaprzepaścił już niejedną wyprawę, więc uwaga i dokładność po wielu godzinach lotu, przy postępującym zmęczeniu, była bardzo ważna. Kiedy cała dostawa świeżych warzyw, owoców, chleba, mięsa, makaronów, dżemów i sam nie wiem czego jeszcze znalazła się pod pokładem, przyszedł czas na rozlokowanie zawartości naszych 24 walizek plus. Szybko poszło z rzeczami osobistymi. Przestrzeni na ciuchy było aż nadto w każdej kajucie, gorzej ze wszystkimi nadmiarowymi, niestandardowymi przedmiotami, których przywieźliśmy bardzo dużo. Wykorzystaliśmy chyba każdą wolną przestrzeń. Miałem mnóstwo sprzętu, cała kajuta była kompletnie zavalona, łącznie z koją, którą dzieliłem ze statywem, z dużym obiektywem, aparatem i dziesiątkami drobniejszych rzeczy. Część znajdujących się na Selmie przedmiotów, które nie były niezbędne podczas naszego rejsu, została spakowana i wyniesiona na ląd, co zwolniło miejsce dla naszych zabawek. Krok po kroku zbliżaliśmy się do celu. Coś, co na początku wydawało się prawie niemożliwe, stawało się realne, a po dwóch dniach — pewne. Sprzęt się zmieścił, ale puste walizki, szczególnie te sztywne, musiały zostać na lądzie. Dostałem propozycję nie do odrzucenia: „hotel” dla walizek za jedyne 150 dolarów za miesiąc, i to z dowozem! Wyjątkowa oferta! Chyba powinienem zainwesto-

wać w blaszak w Ushuai, zwrot inwestycji gwarantowany. Ale dosyć sarkazmu. To była najdroższa przechowalnia bagażu, z jaką miałem do czynienia w swoim dotychczasowym życiu.

Drugiego dnia, krótko przed wypłynięciem, musieliśmy stawić się jeszcze w prefekturze i podpisać stosowne dokumenty. W drodze nie mogliśmy się oprzeć pokusie, której ulega każdy przybywający tu turysta, i zrobiliśmy sobie zbiorowe zdjęcie przy tablicy z napisem „Ushuaia, fin del mundo”. Koło osiemnastej wyszliśmy w morze. Trochę na raty, bo najpierw próbnie, aby zrobić zdjęcia filmowe odpływającego jachtu, a potem na serio. Ponieważ na początek jedna z kamer odmówiła posłuszeństwa, ostatecznie z portu wychodziliśmy trzy razy. Chciałoby się powiedzieć: do trzech razy sztuka.

Dziennik pokładowy

16 lutego – rozpoczęcie rejsu

Po dwóch dniach przygotowań wreszcie wypłynęliśmy w morze. Na początek musieliśmy pokonać Kanał Beagle’a. Sceneria i warunki pogodowe były osobliwe, rześkie, surowe powietrze, niespokojna woda i rozciągające się wokół przepiękne widoki. To jest zawsze ten etap wyprawy, który niezależnie od wszelkich trudności jest dla mnie momentem kompletnego resetu. Kiedy wypływam z portu, za każdym razem mam wrażenie, że uwalniam się, wyzwalam od czegoś, co pozostało na lądzie. Podobne odczucia miał Adam.

*Czuję radość, że płyniemy i że oddalamy się od tych, co psują świat.
Że jak wypłyniesz na otwarte wody, to możesz płynąć, gdzie zechcesz,
bo nie ma dróg i ty wyznaczasz drogę.*

Przez pierwsze godziny rejsu jeszcze się trzymaliśmy. Pogoda była znośna, ale już w nocy pojawiły się fale i zaczęła nam doskwierać choroba morską. Najlepiej radził sobie Adam, poza nim prawie wszyscy legli w kajach. Miałem wachtę między dwudziestą drugą a drugą w nocy i musiałem się szybko pozbierać. Zwykle na morzu mam chorobę morską, ale tym razem

było inaczej. Chociaż czułem pewien dyskomfort, dawałem radę. Regularnie przyjmowane tabletki działały i wbrew przewidywaniom cały rejs przetrwałem bez większych problemów.

17 lutego – Kanał Beagle’a

Kanał Beagle’a przekraczaliśmy na silniku. Płynęliśmy przez całą noc. Na otwarte wody wypłynęliśmy koło południa. Zmierzaliśmy w okolice przylądka Horn, aby stamtąd, przy sprzyjającym wietrze, wystartować ku Antarktyce. Pierwsze dni były trudne. Walczyliśmy jak potrafiliśmy, ale wiatr był bardzo niekorzystny. Nie zbliżaliśmy się do celu, choć też nie oddalaliśmy od niego. Kręciliśmy się w kółko, bezpowrotnie tracąc bezcenny czas. Tego dnia pełniłem późnowieczorną wachtę. Było naprawdę emocjonująco, fale nie dawały nam spokoju. Na początku miałem gogle, więc nie czułem na twarzy siły rozbryzgującej się na pokładzie fali. Po jednej z przerw ściągnąłem je i wtedy dopiero doceniłem moc, z jaką woda uderzała o jacht. Na tym etapie kapitan traktował nas jeszcze ulgowo. Tym, którzy nie dawali rady, pomagał jak mógł. Znamienne były słowa Ksawerego wracającego ze swojej wachty. Na moje pytanie, jak było, odpowiedział z przekąsem: „Ciekawie... No, to była taka wachta udawana... leczę” — i czym prędzej poszedł spać.

Na ile mogłem, starałem się rejestrować emocje kompanów, wypytywałem ich przy każdej możliwej okazji o samopoczucie i najświeższe wrażenia. Rafał, solidnie sponiewierany przez chorobę morską, na pytanie, jak się czuje, z trudem odpowiedział:

W dwóch miejscach bardzo dobrze: na pokładzie i w koi. Odsypiam po nocnej wachcie już siódmą godzinę. Trzeba się podnieść. Słyszę, że żagle poszły w górę...?

Odparłem, że nie, i dopytałem, skąd wie, że miały pójść. Rafał na to:

Tak mi się wydawało, albo śniło...

I spał dalej.

Świeże powietrze na zewnątrz trochę łagodziło objawy choroby, ale kiedy tylko wachta się kończyła, jedynym ratunkiem były koja i głęboki sen.

Przed wyprawą wręczyłem każdemu z uczestników dyktafon z prośbą, aby rejestrowali dźwiękowo swoje dzienniki. Niemoc sprawiła, że priorytety się zmieniły i jedyną osobą, która przekraczając Cieśninę Drake’a, sumiennie wypełniła to zobowiązanie, był Artur Homan. Słowa, które odnalazłem w nagraniu, świetnie oddają atmosferę panującą w tych dniach na jachcie. Zmęczony i wyraźnie oszołomiony Artur opowiadał o pierwszym dniu w rejsie:

Jest 17 lutego, tak, 17 lutego. Dzisiaj są moje urodziny, które? [po chwili] Czterdzieste dziewiąte, rocznik '68, mamy 2017 rok, więc czterdzieste dziewiąte... Wczoraj wypłynęliśmy z Ushuai, hm... [wyraźnie zmęczony i skołowany] i miałem wachtę od czwartej rano do ósmej. No, muszę przyznać, że jak wyszedłem na jacht, na zewnątrz, to ciemność była totalna i wszystko się zlewało w jedno, i chmury, i ląd, a płynęliśmy akurat Kanałem Beagle’a. Na początku zupełnie nie mogłem się zorientować, w którym kierunku mam płynąć, gdzie jesteśmy itd. Dopiero po pewnym czasie wzrok się przyzwyczaił, w miarę udawało się dostrzec coś tam na horyzoncie i płynąć w tym kierunku. Płynęliśmy na silniku, nie było dużej fali, tak że nie było źle. Po chwili człowiek się jakoś tam ogarnia, przyzwyczajają się do tego, jak tym kołem sterowym machać w jedną i drugą stronę. [chwila ciszy; rozbrzmiewa dużo mówiące] Tak... ogólnie nie jest źle. Myślałem, że będzie gorzej. Faktycznie myślałem, że będę bardziej skatowany, ale nie jest źle, tylko zmęczenie po przelocie i niewyspanie. Jest coś takiego. I to ciągle chybotanie łódki, że człowiek, gdy się przemieszcza o te kilka metrów, ciągle musi się trzymać, a jeśli się nie trzyma, wpada na coś. Jest to takie dziwne trochę... [po chwili] ale do wszystkiego idzie się przyzwyczaić.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

900 DNI
PRZYGOTOWAŃ

30000
KM

7
ŚMIAŁKÓW

3
SZTUKI

3 CELE
ARTYSTYCZNE

SZTUKA JEST JAK DZIKA PRZYRODA: NIEPRZEWIDYWALNA, NIE ZNA GRANIC I STANOWI NIESKOŃCZONE ŹRÓDŁO INSPIRACJI

12 lutego 2017 roku rozpoczął się pierwszy w historii artystyczny rejs polskich twórców do Antarktyki – **Trzy Sztuki w Antarktyce**. To bezprecedensowe przedsięwzięcie w polskiej kulturze, sztuce i świecie mediów było na bieżąco transmitowane na antenie Programu Trzeciego Polskiego Radia. Uczestnicy, między innymi muzyk Adam Nowak, dziennikarz Paweł Drozd oraz fotograf i pomysłodawca wyprawy Bartosz Stróżyński, postawili przed sobą kilka bardzo ambitnych celów artystycznych. Filarami projektu były film, muzyka i fotografia. W trakcie wyprawy zrealizowano pierwszy w historii koncert polskiego artysty w Antarktyce, powstał film dokumentalny oraz wystawa fotografii, które autor prezentuje także w tej książce.

Publikacja stanowi nie tylko syntezę działań artystycznych, ale także przedstawia kulisy przedsięwzięcia od momentu powstania idei przez kilkuletni bagaż doświadczeń autora prowadzących do spełniania artystyczno-podróżniczego marzenia. Zanim myśl o wyprawie przerodziła się w projekt, a projekt w ekscytującą przygodę i misję artystyczną, musiało upłynąć sporo wody i kilka lat przygotowań, zbierania ekipy, poszukiwania sprzętu i sponsorów. Książka to także, a może przede wszystkim, historia uczestniczących w wyprawie ludzi, ich osobiste doświadczenia, wzloty i upadki, sukcesy i porażki. Autor dzieli się z czytelnikami wspomnieniami, słowami i obrazami. Nawet uczestnicy rejsu mogą być zaskoczeni niektórymi fragmentami tej książki!

Wyprawa **Trzy Sztuki w Antarktyce** miała wpłynąć na ludzi niecodziennymi, trochę ekstrawaganckimi działaniami artystycznymi i przy ich okazji skierować uwagę odbiorców na Antarktykę, zostawić w nich jej ślad i energię tego miejsca. Jeśli choć najdrobniejsze ziarenko, cokolwiek, co jest związane z Antarktyką, zostało zasiane w ludzkich duszach, to najważniejszy cel wyprawy został osiągnięty.

Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

 **Bezdroża**

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
• <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint.PL



ISBN 978-83-283-3514-1



Cena 44,90 zł